

LUDOMIR
BENEDYKTOWICZ

Wspomnienia, listy, wypisy

RELACJA I:

Opis Utraty Rąk Przez ś.p. Ludomira Benedyktowicza.

Spisany w r. 1920, przez niego, po francusku, przygotowany i przeznaczony dla gości Francuzów zwiedzających jego pracownię:

Było to w r. 1863 w czasie powstania polskiego, podniesionego przeciw jarzmu moskiewskiemu. Służyłem w oddziale komendanta „Wiriona” – Wilkoszewskiego. Dnia 14 marca dowódca wysłał nas w pięć koni na rekonesans. Wypełniając ten rozkaz bardzo przykry i niebezpieczny ze względu na panujące mgły, natknęliśmy się na sotnię kozacką.

Powstała walka nierówna, podczas której ubito mi konia.

W tem położeniu, odpowiadając strzałami na ogień nieprzyjaciela, cofałem się pieszo w stronę pobliskiego boru, ale Moskale puścili się konno za mną celem odcięcia mi odwrotu i wzięcia mnie żywcem.

Miałem ostatni nabój w karabinie i dwa pistolety naładowane.

Cofając się, mierzyłem w najbliższych Kozaków.

W tej chwili, gdy celowałem, wystrzał karabinowy ze strony moskiewskiej dosięgnął mnie z odległości około czterdziestu kroków. Kula kozacka przeszła mi lewą rękę na wskroś, druzgocąc obie kości przedramienia i kontuzjonując mi lewy bok w okolicach serca. Naskutek tej rany zatamowało mi oddech i padłem na ziemię zemdłony. Wtedy jeden z Kozaków, dopędzwszy mnie zsiadł z konia i szablą odciął mi dłoń prawej ręki, która zwisała na prawym biodrze, podczas gdy padłem na bok lewy. Po tym czynie „heroicznym”, Kozacy przypuszczając, że nie żyję, oddalili się w pośpiechu, niepewni, czy nie jesteśmy szpicą oddziału powstańczego, ukrytego w lesie. Potyczka ta odbyła się we wsi Feliksowie, w pobliżu dworu ziemiańskiego, skąd przybyła mi pierwsza pomoc ze strony właścicielki dworku, która wraz ze służącą, korzystając z oddalenia się chwilowego Kozaków, przyniosła mi wina i wody, by mnie ocucić i płótna do zatamowania krwi i pierwszego opatrunku. Dzięki odwadze i energii tej szlachetnej, pol-

skiej ziemianki, działającej z najwyższym poświęceniem, zostałem ocalony. Prowadząc swe dzieło do końca, uprosiła zawnego włościanina, który narażając się również na niebezpieczeństwo, gdyby spotkał się z Kozakami, umieściwszy mnie na słomie, zawiózł mnie do pobliskiego miasteczka, gdzie mnie złożył na probostwie, w mieszkaniu księdza wikarego. Nazajutrz wikary wypowiadał mnie i udzielił mi ostatnich sakramentów, a jednocześnie dwaj lekarze w sąsiednim pokoju oświadczyli memu ojcu: „Nie będziemy pana łudzić żadną nadzieją. Godziny życia syna pańskiego są policzone – nie przeżyje on wedle rachuby ludzkiej czterdziestu ośmiu godzin”.

Lecz ponad wszelką rachubę ludzką stał się cud, że ja, który już obchodzę 57-ą rocznicę powstania styczniowego, widzę żywymi oczyma upadek i poniżenie śmiertelnych wrogów mojej Ojczyzny. Drugi jeszcze cud się spełnił nade mną, który sprawił, że nie marnowałem życia w bezczynności. Już w gimnazjum okazywałem dużo talentu i łatwości w rysunku i pragnąłem poświęcić się sztuce malarskiej, ale cała moja rodzina sprzeciwiała się wówczas temu. Dlatego studiowałem



Ludomir Benedyktowicz.
Fot. z archiwum rodzinnego.

potem leśnictwo, by wstąpić do służby rządowej, co mogłoby mi zapewnić korzystną posadę. Plany te zostały przekreślone z powodu udziału mego w powstaniu. W rezultacie tragedia moja na polu walki zdecydowała o mojej karierze artystycznej i pozwoliła mi uprawiać malarstwo bez sprzeciwu ze strony najbliższych. Ponieważ po powrocie do zdrowia miałem zupełną możliwość władania ocalonym przedramieniem prawej ręki, trzeba mi było obmyślić tylko przyrząd do przymocowania pędzla do tejże ręki. Rozmyślając nad tem czas jakiś, doprowadziłem mój zamiar do skutku, obmyśliwszy przyrząd całkiem prosty i odpowiadający swemu przeznaczeniu.

RELACJA II:

Opis Utraty Rąk Wedle Dat Zanotowanych
Z Opowiadania Ludomira Benedyktowicza
Spisany Przez Córkę Janinę:

Dnia 22 stycznia 1863 r. osiemdziesięciu wychowanków Akademii Rolniczej w Broku wstąpiło w szeregi powstańcze. Pierwszy nocleg wypadł na stacji w Małkini. W czterdzieści osiem godzin liczba powstańców wzrosła do 3000 ludzi. Ojciec [Ludomir] przydzielony został do oddziału Zameczka, liczącego 1500 ludzi. Zameczek, nie mogąc wyżywić swych ludzi, rozdziela jeszcze swój oddział. Wtedy Ojciec przeszedł pod dowództwo Wilkoszewskiego – „Wiriona”. Dnia 14 marca dowódca wysłał rekonesans w pięć koni, do którego należy i ojciec, do Ostrowa Łomżyńskiego, by wypatrzyć wojsko rosyjskie. W powrotnej drodze, w Udryniu mieli zabrać kasę podleśnictwa. Gdy wracali przez wieś szlachecką Szubrowo, ostrzegają ich, że powrót odcięli im Moskale, zatem ukrywają się w zagajnikach. Manewrując, by prześlizgnąć się dalej mimo wojsk nieprzyjacielskich, natknęli się na sotnię kozacką przed młynem w Feliksowie. Kozacy dali salwę, trafiając Ojcu konia w brzuch. Zatem Ojciec chce pieszo dotrzeć do pobliskiego boru. Nowa salwa – pada obok Teresiński, trzech innych z rekonesansu uszło. Ojciec, cofając się dalej, mierzy do najbliższych Kozaków. Pada strzał. Kula kozacka gruchocze Ojcu lewe przedramię i rani go w lewy bok, w okolicy serca. Ojciec pada zemdłony. Jeden Kozak dojeżdża, zsiada z konia i szablą odcina nieprzytomnemu prawą dłoń, poczem wszyscy się oddalają. Walkę obserwowano z okien pobliskiego polskiego dworu. Pani Nepomucena z Gembarzewskich Sarnowiczowa, właścicielka Kaczkowa, ocaliła Ojcu życie, unosząc go z pola walki i udzielając mu pierwszego opatrunku. Uproszony wieśniak zawiózł rannego do Ostrowa. Amputacja była nieuchronna, a wskutek długotrwałego krwotoku stan rannego zdawał się beznadziejny. Amputacja odbyła się żywcem na surowo – bez usypiania lub znieczulania. Wbrew rachubom Ojciec przetrzymał wszystko.



Ludomir Benedyktowicz.
Fot. z archiwum rodzinnego.

Feliksowo jest osadą między Kaczkowem a Czurajem niedaleko miasteczka Brok. Tam 11 lat później bawił Ojciec czas jakiś w gościnie u pp. Czachowskich. Na Zaduszki pp. Czachowscy wybrali się z Ojcem do kościoła. W czasie nabożeństwa wszczął się nagle szmer i niepokój między ludem. Oto wieśniacy poznali Ojca, znanego im ongiś, jako wychowanka Akademii Rolniczej w Broku, ale dotąd mieli go za zmarłego, gdyż ocalenie Ojca trzeba było zataić, dla wiadomych powodów. Nawet pewien młody wieśniak nazwiskiem Parys wyrył krzyż z nazwiskiem Ojca na drzewie, w pobliżu miejsca, gdzie ranny padł na ziemię. Otóż zjawienie się ojca w kościele w Dzień Zaduszny wzięli za jakieś nadprzyrodzone zjawisko. Przy wyjściu z kościoła zaczęto się tłoczyć ku niemu, dotykając odzienia, by się przekonać, czy z żywym, czy z duchem mają do czynienia. Na skutek tego poruszenia ludu władze zarządziły aresztowanie Ojca, uważając go za agitatora. Wtedy to w r. 1874, osadzony w cytadeli warszawskiej, siedział Ojciec osiem miesięcy. Ponieważ niczego Ojcu w śledztwie nie dowiedziono, został wypuszczony na wolność.



Niosąca wodę. Rysunek powstały w Cytadeli.
Fot. z archiwum rodzinnego.

(Z okresu uwięzienia w cytadeli warszawskiej, pozostał szereg szkiców, piórem lub ołówkiem, na drobnych ćwiartkach papieru, sygnowanych: „W cytadeli warszawskiej 1874”).

W drodze do Monachium

[Ludomir Benedyktowicz do Marcina Olszńskiego, cyt. za: *Warszawska „cyganeria” malarska. Grupa Marcina Olszńskiego*, oprac. S. Kozakiewicz, A. Ryszkiewicz, Wrocław 1955, s. 155-159].

19 września 1868. [...] Zabawiwszy osiem dni w Krakowie, gdzie obejrzałem wszystko, co było drogiego, świętego i ciekawego, po wielu trudach i kłopotach stanąłem nareszcie w Monachium. Nie znalazłszy towarzysza na dalszą podróż, jechałem z Krakowa sam jeden, toteż dla braku stosunków i nieświadomości miejsca nie zatrzymałem się nawet w Wiedniu dla zobaczenia obrazu Matejki i galerii. W drodze dała mi się bieda we znaki; od Wiednia do samego Monachium przez 24 godziny nic w ustach nie miałem, wszędzie tak krótko przystawali, że nie podobna mi było bez pomocy zdążyć na czas z jedzeniem, zwłaszcza, że musiałbym prosić dopiero kogoś o pokranianie

porcji, co było niepodobieństwem, bo w takiej ciżbie wszyscy przede wszystkim myśleli o sobie. Ale i tutaj, na miejscu, z początku nie lepiej mi się wiodło; moi koledzy, o których miałem się oprzeć, wyjechali w góry na wakacje. Pierwszą noc przespałem w hotelu za guldena, dopiero na drugi dzień trafiłem wypadkiem na Polaka, który mnie wybawił z kłopotu, zapoznawszy z drugimi tu bawiącymi i zabrawszy tymczasowo moje rzeczy do siebie. Wkrótce zaprzyjaźniłem się też z jednym młodym chłopcem, rzeźbiarzem Z Krakowa [Edmundem Jaskólskim?], a ponieważ on zmieniał w tym czasie mieszkanie i poszukiwał innego, wynajęliśmy więc do spółki na trzecim piętrze dość obszerny pokój, za który wraz z meblami, pościelą i usługą płacimy we dwóch 7 guldenów miesięcznie, przy ulicy Schillerstrasse Nr 35. Za 30 krajcarów można tu dostаточно się wyżywić, pod względem więc taniości Monachium jest rajem dla chcących pracować. Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem jeden z panów artystów, który wrócił z Monachium, mówił mi w Warszawie, że 600 rubli ledwie wystarczy na rok, kiedy ja za trzysta podejmuję się utrzymać i jeszcze zaoszczędzę na niezbędne wydatki.

W pierwszych dniach października rozpoczynają się kursa, byłem u Kaulbacha ze swoimi robotami, zadziwił się bardzo, że ja bez rąk biorę się do sztuki, ale obejrzawszy moje rysunki, powrócił mi, że wkrótce będzie o wiele lepiej, jak tylko zacznę chodzić do Akademii. [...] Proszę bardzo przy zdarzonej okazji polecić mnie Panu Kurelli i Panu Brandtowi. Nie wiem czy Pan Gerson odebrał list pisany przeze mnie z Krakowa.

Monachium

Mnichów w listopadzie 1868 r. Już trzy tygodnie ubiegło, jak jestem monachijskim akademikiem sztuk nadobnych. Rzecz to nie lada. Ale bo też nie łatwo było zdobyć ten zaszczyt. Zapisawszy się na kandydata, zostałem powołany wraz z innymi na próbę; w trzech godzinach trzeba było narysować całą figurę z antyku, a po południu w dwóch godzinach powtórzyć toż samo na pamięć. W strachu byłem okrutnym i straciłem nadzieję dostania się do Akademii; nade wszystko pośpiech, jakiego wymagano, wydawał mi się trudnością, którą zwalczyć niepodobieństwem było dla mnie; pomimo to przezwyciężyłem obawy, i obie próby udały mi się nadspodziewanie. Profesor Strahuber był bardzo zadowolony ze mnie i do dziś dnia jestem u niego w wielkim poważaniu; sąd jego jednak nie zapewniał mi przyjęcia, bo dopiero zebrana sesja kompetentnych, miała podług wartości prób wydawać stanowcze decyzje. Przez trzy dni czekałem końca z niecierpliwością, czwartego w przedśionku Akademii pojawiła się lista za drucianą kratką – z trzydziestu kilku kandydatów trzech zostało przyjętych, a w tej liczbie, przez gromadę ciekawych, do-



Ludomir Benedyktowicz, *Dęby*, ołówek, kredka, wym.: 51,2 x 35 cm. Własność Muzeum Narodowego w Krakowie.

strzegłem moje nazwisko. Trzeba było widzieć, z jaką gęstą miną wyszedłem na ulicę. [...] Obecnie rysuję w sali antyków, codziennie od godziny 8 do 12 z rana, i od 1 do 5 z południa; od 5 zaś do 7 wieczór z modelu żywego. Nasiedzę się do syta [...].

Monachium jest to sobie miasto mniejsze o wiele od Warszawy, położone nad rzeką Izarą, ozdobione wieloma pięknymi gmachami, do których się liczą: Muzeum narodowe, archeologiczne, dwie Pinakoteki: stara i nowa, Glyptoteka mieszcząca zbiór rzeźb marmurowych; rezydencje króla, [...] Teatr, Biblioteka, Uniwersytet – no, ma się rozumieć i Akademia Sztuk Pięknych. [...] Położenie dosyć ładne, ale nie takie wcale jak sobie obiecywałem; a co do klimatu, to z powodu nieprzekopanych pokładów torfu, którego tu wszędzie pod dostatkiem, powietrze niezdrowe – zima zaś jest nieprzerwanym ciągiem ciągłych deszczów. Każdy nowoprzybyły musi tu przechorować zmianę miejsca; ja jednak ku podziwieniu moich kolegów nie przechodziłem tej fazy [...].

Mnichów 31 stycznia 1869. Już piąty miesiąc upłynął od czasu, jak wyjechałem z Warszawy szukać chleba i sławy po szerokim świecie, a do dziś dnia nieraz jeszcze kiedy siedzę w swoim pokoiku o szarej godzinie,

i w głębokie utonę dumania, sam sobie nie wierzę, że jestem w Monachium. I nic dziwnego, miejsce o którym przez tyle lat marzyłem, do którego tak gorąco pragnąłem się dostać, musiało przybrać w mojej wyobraźni kształty podobne do złotych pałaców w głowie dziecka [...]. Pracuję obecnie nad figurą Achillesa; pierwsza to, prawie naturalnej wielkości, idzie jakoś oporem; ale im trudniejsza walka, tym świetniejsze zwycięstwo, ktoś mi powiedział; w samej rzeczy, im co więcej kosztuje pracy, tym dłużej i trwalej zostaje w głowie.

Przez święta malowałem Judytę i Holofernesa, przedmiot zadany na premium; ale za krótki to był dla mnie przeciąg czasu, abym go mógł porządnie opracować; nikt jednak z malarzy nie otrzymał nagrody, zabrali je rzeźbiarze. Zacząłem niewielki obrazek Tatarów ciągnących po stepie, na tle zachodzącego słońca w tumanach kurzu, widać zbliżającą się czernię, a z nią stada kruków przeczuwających żer dla siebie. Temat bardzo zwyczajny i prosty, idzie mi głównie o uchwycenie ponurego efektu w naturze, właściwego podobnej chwili. Mam mnóstwo jeszcze pomysłów, ale odkładam je *ad acta*, bo malując tylko w niedzielę, zanadto mam mało czasu do skończenia jednego, a nie można opuszczać Akademii.

Wszystkie cytaty: *Droga do Monachium, Monachium*, za: Halina Stępień, Maria Liczbińska, *Artyści polscy w środowisku monachijskim w latach 1828-1914. Materiały źródłowe*, [w:] *Studia z historii sztuki*, red. W. Juszcak, J. Kowalczyk, J. Pietrusiński, t. 47, Warszawa 1994, s. 120-124.



Ludomir Benedyktowicz.
Fot. z archiwum rodzinnego.